Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 8.

dnia 23. Stycznia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom I.

Errare humanum est

(Ciąg dalszy).

Pan Gozdawa do domu wróciwszy, późno w noc myślał. Synowi jednak o panu Lachockim ani słowem nie wspomniał. W rozbujałej wyobraźni widział się już panem majątku zupełnie czystego. W jaki to atoli sposób miało nastąpić, nad tem się nie zastanawiał. Zdawało mu się tylko, że pan Lachocki, jako człowiek bogaty, dopomoże mu w takiej formie, iż on ocalając fortunę, równocześnie na swych barkach nie uczuje najmniejszego ciężaru. Raz w to uwierzywszy, wyglądał niecierpliwie dnia odjazdu syna, Ryszard bowiem wybierał się do stolicy po pieniądze, które miał z depozytu odebrać.

Po kilku dniach syn wyjechał. Ojciec kazał natychmiast zaprządz i co koń wyskoczy popędził do Wiewiórki.

Pan Lachocki niezmiernie był uradowany, ujrzawszy wózek karmazyna przed swoim gankiem. Gdyby był jeno podołał, byłby go pewnie na rękach zniósł do sieni. Z piwnicy kazał wynieść najlepszego węgrzyna, córka całą godzinę musiała grać i spiewać, a sama pani Lachocka na krok kucharki nie odstępowała, bojąc się, żeby się przypadkiem nie spaliła gęś z jabłkami, która miała być na wieczerzę.

Przy kieliszku i węgrzynie panowie długo jakoś nie mówili o interesach. Więcej zdawały się ich zajmować sprawy publiczne i to co Bismark myśli, niż długi na Starejwsi ciężące wraz z pytaniem jak je zapłacić. Widocznie żaden nie chciał pierwszy zacząć. Gość czekał na gospodarza przez grzeczność, gospodarz na gościa przez wzgląd na gościnność. Dopiero po wieczerzy pan Lachocki bojąc się by sąsiad z niczem nie odjechał, wziąwszy go pod ramię, zaprowadził do swojej kancelarji i tam w te słowa przemówił:

— Cały tydzień myślałem o interesach szanownego sąsiada i przyznam się panu otwarcie, żem się już zaczął obawiać, aby mi mózg nie wysechł.

— Toby źle było, mosterdzieju, bardzo źle. Tak szacowną ingredjencję nie byłoby łatwo czem innem uzupełnić.

— W rzeczy samej sprawa to arcykłopotliwa szanowny sąsiedzie dobrodzieju... Długów hipotecznych jest ci tam łaska boża, rat bankowych zalega pięć, a co do kwot mniejszych...

— Są, są, chociaż nie wiele mosterdzieju! — uzupełnił pan Gozdawa, gospodarzowi w słowo wpadając. — Ale zechciej mi powiedzieć sercuńciu, jakim cudem zapoznałeś się tak wybornie z rejestrem moich grzechów ciężkich i powszednich? Co do mnie mosterdzieju, honorem ci się świadczę, że ich nie znam tak dokładnie.

Na ustach pana Lachockiego pojawił się uśmiech drwiący acz przelotny.

— Niech się pan dobrodziej nie dziwi — odpowiedział — przecie wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. A zresztą jeżli jaką sprawą mamy się szczerze zająć, powinniśmy starać się poznać ją dokładnie.

— Racja, mosterdzieju, wielka racja!

— Otóż rozpatrzywszy się w niej należycie, panowie Franciszek, Anzelm i Bartłomiej, których przedwczoraj na naradę do siebie zaprosiłem, takie

zdanie objawili: Położenie Starejwsi nie jest dotąd rozpaczliwe, i śliczny ten majątek łatwo można ocalić, jeżeli ktoś rozporządzający znaczniejszym kapitałem weźmie go we własną administrację.

— Wybornie sercuńciu! — przerwał pan Gozdawa. — Ja już nie raz o tem myślałem, żeby mnie kto zechciał uwolnić od tych kłopotów. Ryszard i bez tego ciągnie do miasta, a ja mosterdzieju będę sobie mieszkał choćby w Paryżu.

— Na Paryż sąsiedzie dobrodzieju nie wystarczy — gospodarz odparł słodziutko. — Ktokolwiek Starąwieś wziąłby w administrację, postawiłby za pierwszy warunek, żeby utrzymanie jej właściciela jak najmniej kosztowało. Sąsiad dobrodziej musiałby zatem w domu zostać i bardzo się zaoszczędzić, bo tylko przez oszczędność można długi spłacić.

— Niech i tak będzie mosterdzieju, ja już i bez tego żyję jak anachoreta. Ja tam wiele nie potrzebuję sercunciu, byle kawałek mięsa i dobra fajka, o resztę ani spytam. Zresztą czegożbym dla mojego Rysia nie uczynił? Przecie to majątek rodzinny, który mosterdzieju trzeba dziecku oddać.

— Sąsiad dobrodziej prześlicznie to powiedział, a teraz aby zamiar do skutku doprowadzić, należy sobie wybrać jednego z sąsiadów, żeby zajął się gospodarstwem w Starejwsi.

— Kogóż mam wybierać mosterdzieju?

— Mówiłem szanownemu sąsiadowi, że prócz mnie tego samego zdania są panowie Franciszek, Anzelm i Bartłomiej... Co do mnie nie śmiałbym się narzucać, żeby jaki niepoczciwy język jeszcze nie powiedział, że szukałem w tem własnego interesu. Już i tak złośliwi utrzymują żem *Finanzminister!*

— Jakby mi się kto odważył mosterdzieju coś podobnego szczekać, jakem Gozdawa zarazbym mu uszy obciął. A wszak ci to sercunciu rzecz szlachetna, usługa sąsiedzka, którejbym przecie i ja nikomu nie odmówił. Kiedy kochany panie Grzegorzu tyle już dla mnie uczyniłeś, żeś się zajął mojemi sprawami, to zechciej teraz mosterdzieju do końca doprowadzić, a będę ci prawdziwie wdzięcznym. No uczyń to sercunciu dla mnie i dla mojego Rysia.

To powiedziawszy objął gospodarza za szyję i serdecznie uścisnął. Pan Lachocki mrugnął oczyma i tabaki zażył.

— Od usługi ja się nie wymawiam, tylko boję się szanowny sąsiedzie, czy potem nie wejdziemy z sobą w jaką kolizję... Bo to ja człowiek spokojny, nie chciałbym się nikomu narazić, a wśród takich stosunków łatwo o nieporozumienie, zwłaszcza że aby dobrze zrobić, trzeba postępować wytrwale i stanowczo...

— Postępuj tylko mosterdzieju jak uznasz za stosowne, a ja się pewnie nie sprzeciwię.

— W takim razie będę prosił o akt notarjalny, z pełnomocnictwem jak najobszerniejszem.

— Dam ci kochany panie Grzegorzu wszystko czego zażądasz, tylko weź się mosterdzieju do tych interesów, bo przyznam ci się sercunciu pod sekretem, że i jam był już w strachu.

— Jeźli tak szanowny sąsiedzie, to rzecz ukończona. Jutro przyjadę z rejentem do Starejwsi i da Bóg doczekać sprawę szczęśliwie ubijemy.

Uścisnęli się serdecznie, pan Gozdawa aż łzy obtarł, tak go rozczuliła szlachetność sąsiada, potem pożegnali się i rozłączyli. Gość odjechał do domu pełen nadziei różowych, gospodarz udał się do pokoju swojej żony.

— I cóż, Małgosiu — zapytał — zadowolonaś z twego męża?

— Nie mów hoc póki nie przeskoczysz.

— Zobaczysz że twój Grześ przeskoczy! Jak się raz w Starejwsi usadowię, ręczę, że do roku skleimy małżeństwo. Chłopiec uczony i bardzo stateczny, nie to co ojciec, wdał się zupełnie w matkę. A koligacja co? Przecie to nie byle jakiś tam chłystek. Dla naszej Kasi nie mogliśmy nawet marzyć o lepszym mężu.

— Dałby Bóg, dałby Bóg! — westchnęła pani Lachocka.

— Da Małgosiu, zobaczysz że da. Trzeba tylko, żeby odtąd nasze stosunki były częste...

W godzinę później, pan Władysław Gozdawa, rozbierając się w swojej sypialni, mówił do siebie:

— Mosterdzieju znakomicie się złożyło, żem Rysiowi ani słowa nie pisnął... Przekona się sercunciu, że i ja umiem być praktycznym. Ani się postrzeże, jak majątek się oczyści... Ale mosterdzieju ktoby był kiedy przypuścił, że z tego Lachockiego taki sąsiad uczynny! Nazywają go dorobkiewiczem, kutwą, Bóg wie jak jeszcze, a to sercunciu człowiek że go tylko do rany przyłożyć. No i w domu u niego całkiem przyzwoicie! Wprawdzie żona prościucha, o! prościucha mosterdzieju, a panna wymuszona że się aż niedobrze robi, lecz

zato wino wyborne, fajka doskonała i gościnność sercunciu prawdziwie staropolska. Boże! Boże! jak to nigdy nie można wiedzieć co w kim siedzi.

Po tych słowach pan Władysław ukląkł przed łóżkiem, zmówił pacierz, położył się, nakrył prześcieradłem, bo mu pod kołdrą było za gorąco i usnął aby cudowne śnić obrazy.

Nazajutrz, na drodze prowadzącej z Ludaczowa do Woli Ludaczowskiej, ruch od rana był nadspodziewanie wielki. Z wszystkich stron nadchodził lud świątecznie ubrany, mimo że dzień był powszedni; od czasu do czasu przejeżdżały wózki i powoziki właścicieli większych posiadłości, a koło godziny 9 pojawiła się nawet procesja z miasta powiatowego. Każdy dążył do kościoła. Powodem tego była uroczystość wprawdzie niewielka, lecz mająca dla okolicy niepospolitą doniosłość. Oto kaplica Św. Jana, stojąca w połowie drogi pod lipami, fundowana przed 200 laty przez jednego z Gozdawitów, blisko od pół wieku w gruzach leżała. Dopiero proboszcz teraźniejszy zaczął ją z własnych funduszów odbudowywać, a że kaplicę najstarsi ludzie w tych stronach pamiętali, i jak to zwykle bywa, nie jedno podanie było z nią związane, tu i owdzie mówiono nawet o wielkich cudach, przeto w dniu dzisiejszym, w którym miało nastąpić ponowne jej poświęcenie, zaczęli zbierać się ludzie jak na odpust jaki. Nawet starosta miał przyjechać, o czem gdy się straż skarbowa dowiedziała, postanowiła wystąpić uroczyście i w komplecie.

Zanim z innymi do kaplicy pospieszymy, musimy wpierw na chwilę zaglądnąć do kancelarji Sterna. W niej zastajemy właściciela i jego sekretarza. Pierwszy chodzi po pokoju i głosem donośnym rozkazy wydaje; drugi stojąc przy oknie słucha cierpliwie. Właśnie gdy Stern obrócił się do garbusa, przez drzwi od sieni, które przypadkiem nie były zamknięte, wsunęła się jakaś postać niewieścia.

Była to wieśniaczka, na pół naga, wychudzona, żółta, nędzna, istny duch z tamtego świata. U piersi miała niemowlę, drugie dziecko, może trzechletnie, trzymając się jej spodnicy, okiem wystraszonem wodziło do koła.

— Co ty za jedna, czego chcesz? — zawołał Stern gniewnie.

— Ta ja jestem Ołena, żona tego Michajła, którego w zeszłym tygodniu koło w młynie zabiło.

— I cóż z tego?

— Ta nic proszę jegomości... przyszłam tylko łaski pańskiej prosić, żebyście mnie czem wspomogli, bo teraz przednowek... Już drugi dzień w gębie nic nie miałam... dziecko umrze mi przy piersi.

— *Herr Sekretaer*, ta baba widzę zwarjowała! Idź sobie zaraz, bo cię inaczej za drzwi wyrzucę. — Już krok na przód postąpił, żeby groźbę wykonać; wszakże zatrzymał się i do garbusa się obracając rzekł: — Panie Dobrzyński, niech ją pan wyrzuci, bo ja się jej brzydzę!

Garbus stał na dawnem miejscu. Na jego twarzy było wszystko: litość, groza, oburzenie!

— Nie wypędzajcie mnie panie, nie wypędzajcie! — jęknęła biedna kobieta, ku Sternowi suchą rękę wyciągając. — Przecie jam niewinna, żem taka biedna! Mój mąż zarabiał, chodził do młyna, codzień wieczór przynosił trzydzieści pięć centów i z tegośmy żyli, ale odkąd jego koło zabiło, z głodu giniemy... Na zarobek pójść nie mogę, bom słaba, a i dzieci nie ma z kim zostawić.

— Daj mi pokój, i idź sobie do djabła! Czy ja temu winien że twego męża zabiło? Czym go nie płacił, czy co? Zrób proces panu Bogu.

— Ta pan płacili, ale on zawsze zginął służąc panu, i my dziś dla tego chleba nie mamy...

— *Hoeren Sie Herr Sekretaer*, to jakaś socjalistka! Trzeba dać znać do żandarmerji, żeby ją wzięli.

— A ja bym mniewał, że trzeba ją raczej wesprzeć — rzekł garbus po niemiecku.

— Wesprzeć, wesprzeć, niby to ona mnie już nie kosztuje. Przecie po śmierci męża dałem jej zaraz *zwei ranesz*!

— Lecz te dwa guldeny wydała i z głodu umrze.

— To niech umrze... im mniej biednych, tem lepiej na świecie.

— W takim razie chyba ja ją wesprę.

To powiedziawszy garbus wyjął z kieszeni kilka guldenów i podał je nieszczęśliwej mówiąc:

— Idźcie biedna kobieto i niech was Bóg ma w swojej opiece.

— *Hörste!* jaki z niego *grojser purec!* Niech daje, kiedy ma... A ty — zawołał do wdowy się obracając — jak mi się jeszcze raz pokażesz, to ja powiem temu wielkiemu psu, co tu jest, żeby cię w kawałki potargał!

Kobieta wyszła z kancelarji garbusowi błogosławiąc.

Stern długo jeszcze nie mógł się uspokoić. Nie podobało mu się natręctwo, jak powiadał, tej kobiety, i miłosierdzie Henryka, które nazwał po prostu głupią fanfaronadą. Według jego mniemania, biednemu powinno się dawać tylko pół centa; takich półcentówek Stern miał zawsze kilkaset w kasie i te między żebraków rozdzielał. Myliłby się jednak ktoby sądził, że dając tak mało, nie robił przynajmniej między biednemi żadnej różnicy. Przeciwnie, on dawał jałmużnę tylko żydom, a chrześcijanom jedynie wtedy, gdy wiedział, że ktoś na niego patrzy. Chrześcijanie wiedząc o tem, nigdy się doń nie zgłaszali, żydzi zaś nie spodziewając się dostać więcej niż pół centa, woleli także chodzić po jałmużnę do domów chrześcijańskich.

Nagadawszy się do syta, Stern nareszcie zapytał:

— Co to za *hocus-pocus* mają dziś robić koło kaplicy? W młynie nie ma ducha żywego, a sługi także się prosiły, żeby im pozwolić wyjść choć na godzinkę.

— *Hocus-pocus* żadnego nie będzie — sekretarz spokojnie odpowiedział. — To kościół poświęca dziś drugi raz kaplicę świeżo odnowioną, a że ludność naszej okolicy jest przeważnie chrześcijańska, więc i obrzęd będzie wspaniały.

— No i powiedz mi pan, panie Dobrzyński, na co ludziom takich rzeczy? Żyjemy przecie *im neunzehnten Jahrhundert!* Nie jest-że to *feudal und klerikal?*

Garbusowi było za wiele.

— A jak żydzi modlą się w bożnicy lub do księżyca, czy to także *feudal und klerikal?*

Zapytany tak z nienacka języka w gębie zapomniał. Skręcił się jak piskorz na miejscu, mruknął coś o ultramontanach, i coprędzej na inny przedmiot przechodząc, zaczął mówić o interesach. Gdy skończył, garbus pożegnał go zimnym ukłonem i odszedł do swego pokoju, który znajdował się w oficynach.

Po niejakim czasie Stern zobaczył go w czarnym surducie i jasnych rękawiczkach. Widocznie szedł do kaplicy. Tknęło coś żyda. A gdyby i on poszedł zobaczyć, jak katolickie *hocus-pocus* wygląda? Tym razem długo się nie namyślał. Wziął kapelusz i laskę ze srebrną gałką, zapalił cygaro *virginia* i „lekko a delikatnie“ jak to u niego było w zwyczaju, pobiegł do kaplicy.

Już z daleka było widać na drodze tłumy gęsto zbite, z chorągwiami i świecami jarzącemi. Wózki i powozy stały pod lipami, w mieście zaś słychać było ciągłe dzwonienie. Kaplica była dość obszerna i proboszcz właśnie mszę odprawiał. Przed jej drzwiami stali panowie i panie z okolicy, obok nich starosta, człowiek jeszcze młody i powszechnie lubiany, w tyle lekarz z kapitanem, a dalej straż skarbowa, kilku żandarmów i tłumy ludu tak polskiego jak ruskiego.

Dobrzyński przecisnąwszy się przez włościan, stanął między panem Gozdawą a marszałkiem powiatowym, który okazałym wzrostem wszystkich przewyższał. Wyjął książkę i zaczął się modlić.

Zupełnie inaczej zachowywał się pan Jakób Stern. Stanąwszy naprzeciw kaplicy, tak że mógł dokładnie widzieć kapłana przy ołtarzu, nie zdjął kapelusza, nie wyjął z ust cygara, i wsparty na lasce, drwiącym uśmiechem urągał świętości miejsca. Jakkolwiek widzieli to chłopi obok niego stojący, żaden nie odważył się zwrócić jego uwagi na niewłaściwość takiego postępowania. Za to szlachcice z Ludaczowa prędko zaczęli między sobą rozmawiać.

— Patrzcie no go co on tu robi! — szepnął jeden.

— A to kasztan! — poprawił drugi.

— Już raz ukrzyżował Chrystusa Pana — dorzucił trzeci — więc przyszedł go znowu krzyżować.

— Panie Walenty, a podejdźcie że do niego i dajcie mu raz po za uszy.

— Panu Maciejowi bliżej... A no panie Macieju! nie pożałujcie waszej pięści!

— Palnijcie go raz i odemnie! — głos nowy dorzucił.

Stern słyszał jakiś szmer, lecz ani przypuszczał na co się zanosiło. Niebawem zaczął się tłok robić. Starosta, którego oku bacznemu nic nie uszło, skinął na strażnika skarbowego i coś do ucha mu szepnął. Ten obróciwszy się, podszedł do Sterna.

— Niech pan albo z tąd odejdzie, lub kapelusz zdejmie i cygaro wyrzuci.

Stern zmierzył go pogardliwie. Wszak strażnika, który do jego gorzelni przychodził, oddawna miał w kieszeni.

— Co to znaczy? Przecie dziś mamy *Glau-*

bensfreiheit. Wolno wam modlić się, wolno mnie stać i cygaro palić.

Strażnik nie wiedział co na to odpowiedzieć. Tymczasem tłok coraz się zwiększał, i pan Maciej z pięścią zaciśniętą był już ledwie o trzy kroki. Za nim podążali panowie Marcin, Wojciech i Mikołaj. Na szczęście Sterna przycisnął się do niego żandarm. Ten krótko a dobitnie przemówił:

— Jeżli pan nie uczynisz zadość wezwaniu, na rozkaz pana Starosty zaraz cię przyaresztuję.

— No, no, niech pan nie będzie taki gorączka... ja przecie wiem co trzeba robić.

To rzekłszy, zdjął kapelusz, wyrzucił z ust cygaro i w tył się cofając, począł z tłumu wychodzić. Żandarm szedł za nim krok za krokiem żeby mu się co złego nie stało. Niebawem ujrzał się daleko za tłumem, w miejscu bezpiecznem. Z początku biegł prędko, dopiero gdy tak się odsadził, że nawet głosów nie słyszał, odwrócił się i pięścią pogroziwszy zawołał:

— *Wart die ganef*! Nauczę ja ciebie rozumu! *Neue freie Presse* wszystko będzie wiedziała!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Było mu tego potrzeba, aby nabrać odwagi; chciał owemi słodkiemi pocałunkami zatrzeć gorycz, która paliła jego usta. Po sobie sądząc, wiedział, że eter nie doda sił Blance. Jedynie wola tu coś znaczyć mogła.

W istocie po kilku minutach ciepło serca braterskiego rozgrzało skostniałe członki Blanki; przychodziła do siebie. Pierwszym jej ruchem było, że zarzuciła ramiona na szyję brata i wycisnęła gorący pocałunek na jego ustach, a potem wybuchnęła głośnym, spazmatycznym płaczem. Abel zaś, stając się wraz z nią dzieckiem, szlochał z nią wspólnie.

Panna Dumesnil pragnęła wziąść udział w tem wzruszeniu. Poruszała brwiami, aby łzy wywołać. Uczucie jednak klasyczne wzbraniało jej pozostać dłużej świadkiem sceny, której wytłumaczyć jej nie chciano, współczucie zaś naturalne poradziło jej oddalić się.

— Zostawiam was moje dzieci — powiedziała, mówiąc z naciskiem dla zemszczenia się wyraz „dzieci,“ a czule niby dodała: — widzę, że macie sobie wiele, do powiedzenia, co mnię się nie tyczy... powiecie mi to później, wszak tak? Powinnaś spocząć kochanko, za wiele to wzruszeń na jeden wieczór, i pan także, panie Abel... O! nie zaraz w tej chwili, rozumiem... jeszcze nie powiedzieliście sobie wszystkiego; ale niezadługo. Czy przyjdziesz jeszcze do mnie Blanko? Czekać będę na ciebie.

Brat i siostra podnieśli się nieco; Abel wyciągnął rękę do tej poczciwej starej panny, Blanka dała jej czoło do pocałowania, ale panna Dumesnil, aby zupełnie pozostać wzniosłą, powstrzymała ich gestem pobłażliwym, skinęła z dobrotliwym uśmiechem głową; błogosławiąc ich niby, zabrała swoją książkę i wyszła ze saloniku majestatycznie i zaintrygowana.

Jej pokój, był obok pokoju Blanki, kurytarz je przedzielał; panna Dumesnil wchodziła doń z postanowieniem, że położy się ostatnia w pałacu. Dokończyła tomu, nie chciała nowego zaczynać, miała po kilka kroć ochotę zejść na dół, powstrzymała jednak ciekawość z tą łatwością, z jaką hamowała wszystkie swe namiętności w życiu, oprócz manji czytania, i zdecydowała się pójść do łóżka nad ranem, przekonawszy się, że wychowankę odprowadził brat do jej pokoju.

Byłaby się chciała dowiedzieć, co zaszło u p. de Moranes.

Czy ów uczony egoista, obojętny na wszelkie uczucia serca i duszy, odmówił pozwolenia na ślub córki z szlachcicem nieposzlakowanym, synem zacnych rodziców, jakim był p. de Rosey? Czy ów ojciec, tak mało będący ojcem nie chciał spędzić owego smutku z czoła córki, który powinien go był niepokoić? O, ci uczeni, ci zarozumialcy „lin—gwi—sty—cy,“ jak nie znają się na historji serca! Czy w ogóle mają serce?

Po tych refleksjach zakończonych przyciskaniem wyschłą ręką swych piersi kościstych panna Dumesnil zasnęła.

Jak tylko zostali sami, Blanka z bratem schwycili się za ręce i spojrzeli badawczo na siebie. Chcieli mówić i zawahali się. Abel, w którego głowie szumiało od kilku godzin, starał sobie przypomnieć owe słowa gwałtownej pogardy, któremi p. de Moranes zakończył swoje opowiadanie, i szukał na czole siostry śladów wstydu, którym okryć się musiało, słysząc słowa takie o matce. Zapewne wtedy zemdlała.

Blanka spoglądała na brata, aby porównać ich cierpienia.

Abel był podobny do ojca z tego, że analizował każdą rzecz sumiennie, drobiazgowo. Jego młodość, przepędzona wśród obcych, potrzebowała jednak serca.

— Biedaczko moja! — rzekł łagodnie do siostry — teraz pojmuję, ile cierpiałaś!

Blanka pochyliła głowę zmięszana.

— A jednak nie widziałam wszystkiego!

— Jak sobie zatem tłumaczyłaś to, co widziałaś?

— Nie tłumaczyłam sobie wcale. Cierpiałam... To co dziś usłyszałam, nie zmniejszy mej boleści. O, matko moja, matko!

— Nie sądź jej za surowo! — przerwał Abel, podrażniony tym jękiem i przerażony, że siostra może pogardzać ową ofiarą zazdrości gwałtownej.

— Nie oskarzam jej, żałuję tylko.

Blanka rozmarzona mówiła dalej:

— Tak, tak, bawiłam się wówczas... usłyszałam krzyk. Wybiegłam z altany... zobaczyłam matkę z podniesionemi rękami, przestraszoną... uciekała. Chciałam na nią zawołać. Gdybym była rzuciła się na nią, gdybym ją była wstrzymała, czy byłby ją uderzył?... czy byłby mnię oderwał od niej? Nie miałam siły... padłam bez zmysłów...

— Więc to od dwunastu lat żyjesz z tem wspomnieniem?

— Nie żyję; lecz umieram.

— Zabraniam ci umrzeć.

— Co zrobisz?

Abel nie wiedział co odpowiedzieć.

— Najprzód — rzekł — jest nas teraz dwoje do znoszenia żałoby, a potem mamy obowiązek względem ojca. I on godzien jest pożałowania.

— Ojciec?

Blanka zadrzała i przytuliła się do brata. Abel pochylił się do jej ucha i szepnął łagodnie.

— Ty go nie kochasz?

— Boję się go.

— Niesłusznie. On się nas obawia.

— A słyszałeś przecie, że skrwawił poduszkę moją, krwią naszej matki!

Blanka o mało znów nie zemdlała przy tem wspomnieniu. Mówiła dalej sztywniejąc.

— Gdy ci to powiedział, zdawało mi się, że owym nożem, o którym mówił, uderzył mnię w serce. Zdawało mi się, że go jeszcze widzę rozszalałego, goniącego za nią... wtenczas znów upadłam... ale tym razem ty mnię podniosłeś... on już nie śmiał, on... Gdzie jest?

— Jestem pewien, że robi to co my: płacze.

— Nigdy nie płakał.

— Mylisz się. Widziałem ranę otwartą i ulitowałem się; on także bardzo cierpiał i dotąd cierpi.

Blanka poruszyła się, a brat wziął to za zaprzeczenie.

— Nie wierzysz w jego ranę?

— O to nie to... ale cóż zrobił, aby ją zagoić?

Abel zdziwił się nad tem spostrzeżeniem.

— To nie jego wina — rzekł łagodnie — że przeżył ów wybuch złości, czy miłości... Dla ciebie moja siostro, został przy życiu... słyszałaś? Skoro ciebie podniósł zrozumiał, że nie wolno mu umierać... Chciał czekać na nasz wyrok.

— Czemu czekał na mój, skoro byłam przy nim, a widział, że przygnębioną jestem tem, co widziałam?

— Bo byłaś dziewczynką, której nie można mówić tego, co mi dziś powiedział.

— Dziewczynką!... Przestałam nią być od chwili, gdy ujrzałam, jak matkę moją ścigał morderca... mógł mi co innego powiedzieć.

— Co takiego?

— Przekonać mnię, że źle widziałam, że jej nie zabił, że żyje, że ją zobaczę kiedyś...

— Chciałaś kłamstwa od tego, który kłamać nie umie?

Blanka potrząsła głową i nic nie odpowiedziała.

— Ale ty, droga moja, czemu od lat dwunastu nie mówiłaś mi o tem nieszczęściu? Przecież spędzałem kilkakrotnie całe miesiące z tobą... widziałem cię bladą, myślałem żeś chora; byłem niespokojny; niedobra jesteś, że ci nie przyszło do głowy podzielić się ze mną tą tajemnicą!

— Nie chciałam abyś sobie obrzydził naukę z powodu uczonego. Mówiono, że możesz stać się równie sławny jak on... on był dumny z ciebie... a potem... potem...

— Co takiego?

— Zawsze miałam myśl pewną, sen!

— Co za myśl? co za sen?

Blanka zebrała wszystkie siły i spoglądając uważnie na brata, szepnęła:

— Wystawiałam sobie, że moja matka nie umarła!

Abel zerwał się.

— Zkąd to przypuszczenie?

— Nic pewnego... wrażenie... wizja... Zdawało mi się, że widziałam czasem oczy niebieskie, które na mnię spoglądały jak owe wielkie oczy wzniesione ku niebu w chwili, gdy uciekały... Za czasów starej Zofji, która mnię wychowała, a umarła przed siedmiu laty, przed tem, nim panna Dumesnil tu przybyła zdawało mi się kilka razy nocą, że czuję pocałunki, których nie dawał mi ojciec, bo nie robił nigdy tego; te zaś zostawiły mi na czole, na licach, słodkie, upajające wspomnienie. Gdy zaczęłam myśleć, gdy doszłam do lat, w których mogłam była zapytać Zofją, poczciwa kobieta zachorowała i umarła... Z nią i widzenia znikły, mam jednak ich wspomnienie, przeczucie... nie byłabym nigdy o tem wspomniała pannie Dumesnil. Ona nic nie wie z tego co zaszło; powiedziano jej, że mama umarła, i uwierzyła temu. Są dni wielkiego smutku dla mnię, w których i ja w to wierzę; są inne, w których jeszcze więcej cierpię, lecz mam nadzieję i powtarzam sobie: A gdyby to nie było prawdą!

— Biedna siostrzyczko moja! jednak ta okropna scena!

— Tak, uderzył ją! tak, wpadła do rzeki! tak, nosiliśmy żałobę; ale to nie są jeszcze dowody. Jesteś mężczyzną mój bracie. Możesz to zrobić, na co ja

się nie mogłam odważyć... Jedź w Ardenny, rozpytuj się tam i badaj. Gdy kto umrze, są pewne formalności, wszak tak?... dziedziczy się...

— Matka nie miała majątku.

Zapisują umarłych w urzędzie municypalnym, wszak tak?

— Bez wątpienia!

Blanka wstała. przeszła się po pokoju, a powróciwszy do brata, który na nią patrzał z współczuciem, rzekła.

— Jeżeli mnię chcesz uratować, poszukaj mi tych dowodów... Gdy zobaczę na piśmie, gdy ujrzę akt zejścia mej matki, szczerzej ją opłakiwać będę, niż dotąd opłakiwałam, na prawdę będę nosić po niej żałobę; nie będę znosiła tej niepewności, tej nadziei ułudnej, z jaką jej szukam... Ah! gdybym była wiedziała, że ów pan Somery jest w Boulogne, nie byłabym się obawiała pójść do tego człowieka i zapytać go, gdzie jest moja matka? Jeżeli umarła, może miałabym odwagę, której nie mam do życia wśród tej niepewności. O matko moja jedyna! gdzie ty jesteś?... Wszak wreszcie ojciec nie powiedział, że umarła.

Twój krzyk przerwał mu. W istocie nie powiedział wszystkiego.

— A więc widzisz! Ona żyje! Mówię ci że żyje!

Abel pochwycił palące dłonie siostry.

— Masz gorączkę — rzekł łagodnie. — Niestety! biedna Blanko moja, strzeżmy się wszelkich urojeń! Może nam łatwiej opłakiwać ową matkę okrutnie za swój błąd ukaraną.

— Swój błąd! — szepnęła Blanka, — nigdy nie wierzyłam, aby mogła być winną.

— A jednak ojciec...

— Czyż nie mógł się mylić? Czyż go gniew nie mógł oślepić? Owe oczy niebieskie, które błysnęły przedemną jak promień niebieski, nie były oczami występnej... Nie, o nie!

— Dla czegoż więc uciekała?

— Bo gonił ją jak szalony... Przypominam sobie dobrze, że w wilją dnia tego pieściła mnię bardzo, serdecznie, jak uczciwa matka pieści swoje dziecię. Prawda, że nie ukrywała przedemną łez swoich... owe łzy spostrzegł ten drugi, o którego ojciec był zazdrośny... Tego drugiego nie widziałam nigdy, Wiele osób bywało w pałacu; byłam za małą i nie brano mnię na owe spacery... Gdy padłam jak nieżywa, zostawałam tak przez dwa dni; zanim przyszłam do siebie, dostałam nerwowej febry, napisano ci, żem chora... Trwało to dwa miesiące. Przez owe dwa miesiące wszystko tak urządzono aby nas w błąd wprowadzić. Było to łatwem. Ty byłeś w Anglji, ja leżałam w gorączce... odzyskałam zmysły; obudziłam się tutaj. Ojciec zajął się przeniesieniem swoich ksiąg i zbiorów... Trwało to długo, długo... Często wyjeżdżał, aby park na parcele podzielony sprzedać; aby pałac rozebrać i kamienie z niego spieniężyć; nie mówiono więcej o matce; nosiłam żałobę... odtąd żyłam w ciągłem oczekiwaniu, o którem nikomu nie mówiłam. Z dawnych sług została tylko Zofja, której pytać nie śmiałam... Gdy Zofja umarła, przybyła panna Dumesnil i rozpoczęły się lekcje. Wtenczas zaczęłam nowo życie długie, samotne, które mnię starą zrobiło; tyle przecierpiałam! więcej niż znieść można w moim wieku.

Blanka zebrała wszystkie siły, aby powierzyć bratu swoją boleść i swoje nadzieje. Gdy przestała mówić, popadła w stan odrętwienia, który okazywał jawnie, jak to słabe ciałko strasznie zniszczonem było.

Abel to spostrzegł i bardzo się przeraził.

Oparł główkę siostry na swoich piersiach, a kołysząc ją niezgrabnie, co tem tkliwsze było, szeptał jej słowa pociechy, aby ją uspokoić, starał się sam zrozumieć jej marzenia i podzielać jej nadzieje.

Czyż wizje Blanki, były tylko wizjami?

Tak, owa natura słaba, schorzała, odpychała gwałtem rzeczywistość, którą widziała, i która ją zabijała.

Matka pozostała w jej myśli ofiarą uciekającą przed swym katem. Ponieważ Blanka jej nie widziała martwej, bladej, spoczywającej na katafalku, przypuszczała, że błąka się ciągle, prześladowana, wyciągając ręce do nieba o pomoc.

Samotność zwiększała tę egzaltacją. Może też i poczciwa panna Dumesnil swoją namiętnością czytania zaraziła Blankę ową romansowością imaginacyjną.

W każdym razie pierwszym obowiązkiem Abla było walczyć przeciw tej egzaltacji, powstrzymywać owo źródło życia bliskie wyschnięcia. Badał ową bladość przejrzystą, a pod pozorem pieszczot, liczył słaby puls jej rączki wilgotnej. Czuł jak serce Blanki bije pospiesznie i powtarzał sobie z przestrachem i wątpliwością:

— Uratuję ją! uratuję!

— Ale jakim sposobem?

Chciał zmienić przedmiot rozmowy i zaczął mówić o Fryderyku de Rosey.

Na to nazwisko Blanka zadrzała i chciała usunąć się z objęć braterskich a potem przytulając się doń lękliwie, szepnęła:

— Widzisz sam że powrócić nie może.

— Dla czego?

— Bo jego rodzina wie o tem co zaszło.

— Nie wie nic więcej nad to, co plotki roznieść mogły, to jest — nic.

— Hańba i krew to nic?

— Jeśli pan de Rosey sam nie powróci, poszukam go — mówił Abel — pójdę do jego rodziców i opowiem im to, o czem się dowiedziałem.

— Wszystko? — zapytała Blanka pełna trwogi.

— Tak, wszystko. Osądzą pana de Moranes jak ja go osądziłem i żałować go będą, jak ja go żałuję. Pan de Rosey jest prawnikiem?

— Tak.

— Więc do jego sumienia jako do prawnika odwołam się. Czy ośmieli się potępić człowieka honoru, który nie mógł pohamować oburzenia na widok obrazy, i który przez to morderstwo dowiódł więcej miłości

niż nienawiści. Tak ja go pojąłem. Więcej cierpiał z miłości, której mocy nie znał, niż z dumy. Pan de Rosey zrozumie to, a jeżeli syn jego prawdziwie cię kocha...

Abel przerwał.

Blanka nie była zdolną odpowiedzieć, ale przytuliła się mocniej do brata, który mówił dalej:

— Ponieważ pan de Rosey kocha cię, jak na to zasługujesz, droga siostrzyczko, będzie dumny, że pozwolę mu przyjechać poprosić o rękę twoją barona de Moranes.

Blanka westchnęła, przerywając mu:

— Krew można przebaczyć, ale hańbę?

Abel uniósł jej główkę, aby jej w oczy popatrzeć i rzekł wzruszony owem uczuciem synowskiem.

— Czy nie mówiłaś w tej chwili, że nie sądzisz, aby matka winną była?

— Tak, ale kto ją obroni?

— Najprzód my, bo nie dopuścimy hańby. Twoje serce mówi ci prawdę; prawdę odkryłem w opowiadaniu ojca i prawdę wyjawię, jeżeli tego potrzeba, pani de Rosey... Mój ojciec nie chciał nic z życia swego zataić przedemną, a serce matki widziałem w jego rozdartem sercu. Połączono ich, gdy powinni byli zostać rozłączeni. Przeżyli swoją młodość razem, więc sądzili, że mogą spędzić życie wspólnie. Ojciec prawy, prosty, nie znający namiętności, jak wszyscy uczeni oddający się nauce, porywczy, gwałtowny, nie przystawał do tej duszy czułej, sentymentalnej, kochającej. Teraz przyznaje, iż zdolnym był naprawić to, co się nie da naprawić. Ona łudziła się, chciała zagrzebać się w tych mumiach jak on się w nich zagrzebał. Próbowała go wyrwać na słońce, do życia po ludzku czynnego. Znużyli się oboje tem wysileniem, skoro stać się miało kłamstwem... Biedna matka! Byliśmy za mali oboje, aby ją pocieszyć, wesprzeć. Ja zresztą byłem daleko, a ty, Blanko, straszyłaś ją, ręczę za to, twoją delikatną naturą. Gdy płakała w obec ciebie, to tak nad tobą, jak nad sobą płakała. Przewidywała jak ty również cierpieć będziesz w tym domu smutnym przez ów pedantyzm uczony... Ale uspokój się, teraz ja jestem... Ona walczyła, ja widzę to; wzięła sobie za powiernika człowieka... którego nienawidzę, bo byłem bliskim pokochania go, a którego mój ojciec przyjął jako przyjaciela. On jest sam winnym; on powinien był przestrzedz męża zamkniętego w swoim egoizmie.

— Pewnego dnia pani de Moranes została olśnioną i dostała zawrotu nad brzegiem przepaści, to nie była miłość... Miałaś słuszność Blanko, ty, która widziałaś jej łzy skryte, że ją z tych łez rozgrzeszałaś, ona godną jest pożałowania; my oboje jesteśmy jej sumieniem, jej serce składa się na nasze serca. Była tkliwą, miłą, cierpliwą... Miała jednakże i coś z mojej dumy... Wolała szukać śmierci, niż bronić się, a uciekała tylko przed zabójstwem, które mogło sprowadzić wyrzut sumienia, po zbrodni dokonanej... Stało się wielkie nieszczęście w naszej rodzinie; trzeba mieć to na myśli, aby mieć nadzieję, ufać w przyszłość, uspokoić ojca, który cierpiał i który tak dobrym mi się dziś okazał jak nigdy.

Blanka połykała te słowa; pierwszy to raz mówiono jej o matce, jak tego pragnęła; pierwszy też raz tłumaczono jej jasno szorstkość i ponurość charakteru ojca; było to więcej niż pociechą, bo było ulgą i błyskiem nadziei.

— O! gdybym ci wierzyć mogła! — szeptała boleśnie.

— Musisz mi wierzyć. Przyjechałem tu po to, aby cię za mąż wydać i wydam!

— Nie mów o tem! — szepnęła.

— Owszem, mówmy jak najwięcej!

Abel czuł dobrze, że to był jedyny balsam uleczający. Dodał więc, ściskając Blankę:

— Małżeństwo, kochanie, to nie tylko zapewnienie twojej przyszłości, ale i dla ojca rehabilitacja, której nie żądał od opinji. Widziałaś łzy matki... Zaręczam ci, że dnia pewnego, ujrzysz łzy pana de Moranes, a temi łzami błogosławić cię będzie.

Blanka już się nie opierała, znajdowała, że Abel jest potężnym, mądrym, dobrym. Nie można się było z nim sprzeczać, bo odpowiadał na wszystko przekonywająco. Tak, pozwoli kierować sobą, ożywi się, zapomni o wspomnieniach. Brat rozproszy jej sny złowrogie.

Pozostała tak przez dwie godziny z głową opartą na jego ramieniu, z ręką, w jego ręku, i słuchała go, bo nie tylko ją przekonywał, ale miło jej było go słuchać. Tak słodko wymawiał nazwisko de Rosey, dodawał mu wdzięku nieokreślonego. Zdawało jej się, że był przyjacielem Fryderyka, tak mile o nim wspominał.

Opowiadała bratu o Fryderyku, o jego rodzicach, o spotkaniu się z nim w Boulogne, i tak pomału zaspokoiła ciekawość Abla. Pierwszy raz odważyła się myśleć głośno, bo miała powiernika, echo uważne i chciwe jej wyrazów.

Abel nie czuł się znużonym, przezwyciężył osłabienie. W jego żyłach fermentowało. Myśl opieki bohaterskiej, którą jego odwaga nawet nad ojcem rozpościerała, opanowała go. Uspakajał się, zachowując całą złość dawną, ale chciał ją przytłumić i okazać dopiero wtenczas, gdy będzie pora po temu.

Jeszcze mu tętniały w uszach słowa pana de Moranes, ale już go nic oburzały. Myślał wśród słów Blanki o swoim jutrzejszym pojedynku z Courberonem i p. de Somery. Chciał się jeszcze dzisiaj zobaczyć z ojcem, aby zażądać od niego ostatniego wyjaśnienia, szczególniej zaś, zanieść mu rozgrzeszenie, które krzyk siostry opóźnił. Wstrzymywał tę niecierpliwość, bo chciał, aby wprzód Blanka się położyła i zasnęła smacznie; więc cieszył się ową słodką idylą.

Gdy już był pewnym, że Blanka uspokoiła się, że już sen zaczyna kleić jej powieki podniósł ją jak matka,

która każe się słuchać, a pieszcząc i podtrzymując, zaprowadził do jej pokoju.

Blanka uśmiechała się senno, i ulegając magnetyzmowi przyrzekała słuchać. Wierzyła. Młodość wchodziła w swoje prawa i szeptała sobie cichutko, że nie trzeba umierać, gdy się ma lat dziewiętnaście, kocha się i jest się kochaną, a ma się obok siebie obrońcę, która się nie cofnie przed niczem, byle pokonać przeznaczenie.

Panna Dumesnil usłyszała kroki Abla i Blanki na wschodach, w kurytarzu, przed swemi drzwiami. Tu powiedzieli sobie dobranoc.

Abel wskazał ręką na drzwi guwernantki i trochę ironicznem spojrzeniem spytał ją, czy nie wejdzie, aby zaspokoić ciekawość starej panny, która na nią czekała. Światło przebijało przez drzwi szczelinę.

Blanka odpowiedziała gestem przeczącym. Czyżby to nie było świętokradztwem zepsuć słodkawo-zimnem współczuciem owe gorące wylanie uczuć, które wzmocniło jej serce.

Przeszła cichutko na palcach, spiesznie otworzyła drzwi swego pokoju, a posyłając bratu rączką ostatni pocałunek, znikła w nich jak zjawisko, które znika w ciemnościach bez hałasu.

Gdy Abel sam pozostał, spostrzegł, że światło w pokoju guwernantki zagasło. Posłała czułe westchnienie do świecy, aby zaś nie mieć żalu do wychowanki, postanowiła sobie śnić o heroinie swego romansu, który dokończyła.

Abel schodził zwolna, zatrzymując się na każdym stopniu, aby rozważyć i ocenić ciężar, który łzy siostry strasznym robiły, i namyślić się nad słowami, z któremi pójdzie do ojca.

Stosunek pomiędzy ojcem a synem zmienił się. Owe okropne zwierzenia zrównały ich. Abel stał się odważniejszym. Miał mówić do człowieka, którego sędzią się stawał, a obawa o zdrowie Blanki nadawała mu prawa prawie macierzyńskie, równające go z ojcem.

Poszedł zapukać do biblioteki pana de Moranes, dziwiąc się teraz, że ojciec nie poszedł za nim, gdy unosił Blankę.

Ojciec nie odezwał się. Kilka razy pukał, a uczony mu nie odpowiedział.

Czy wolno mu było gwałcić to milczenie, które było niejako zakazem?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jałmużna.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Mimo najczulszych starań i porady najsławniejszych lekarzy, życie pani Giraud przez rok sztucznie utrzymywane, zgasło wreszcie, ni to lampa, w której braknie oleju.

Z czcią religijną dopełniając ostatniej woli matki, Walentyna wraz z mężem, przywieźli nazad do Paryża, jej zwłoki, by spoczęła snem wiecznym obok swego ukochanego Raula, na cmentarzu Montmartre.

Tamto przypadkiem spotkał ich Jerzy, a ta dwoistość jego Ideału; biednej dziewczyny w łachmanach i damy wielkoświatowej w aksamitach, o mało zmysłów go nie pozbawiła.

Choć się zarzekał, że tamtej zwodnicy więcej nie chce spotykać, siła niewidzialna, która pierwej kroki jego wiodła pod ową starą kamienicę, teraz ciągnęła go bezwiednie na cmentarz Montmartre. I tu, jak tam, więcej nikogo nie spotkał. Odczytał wprawdzie napis na obelisku, że pod nim spoczywają małżonkowie Giraud, lecz to jeszcze w niczem go nie oświeciło. Błąkał się w ciemnościach jak przedtem a słodki obraz tylko w podwójnem wydaniu, jak dawniej tak i teraz pozostał w jego sercu i pamięci.

Walentyna towarzyszyła mężowi do Anglji. Rok żałoby po matce, przeżyła w zamku jego dziedzicznym w Szkocji. Dzika górzysta okolica; zamek ponury, o którego mury i skały niewzruszone, fale morskie z hukiem uderzały; lasy dziewicze w koło niej głucho i tajemniczo szumiące; całe otoczenie, tak opowiadało jej smętnemu usposobieniu, iż była najwdzięczniejszą mężowi, za to schronienie samotne, zdala od ludzi obojętnych i zgiełku światowego.

Młodość ma swoje prawa. Powoli rana, acz nie całkiem zgojona, zaczęła się zabliźniać i z gwałtownego bolu, Walentyna przechodziła do cichej melancholji; wreszcie zaczęła wracać do życia i cieszyła się tym pięknym światem, jak dziecko, po długiej chorobie, pierwszy raz na świeże powietrze wyniesione.

Mąż ją zawsze ubóstwiał i myśli najtajniejsze starał się odgadywać. Przez rok we Włoszech spędzony, wyuczyła się języka włoskiego, wydoskonaliła głos, który miała nader piękny, o dźwięku mezzo sopranowym, a tak rzewny, że każdemu łzy do ócz się cisnęły, gdy mu zaśpiewała. Biedna matka rozkoszowała się temi słowiczemi dźwiękami swojej jedynaczki i niemi ukołysana, ducha Bogu oddała.

Lord Derby w niczem nie gwałcił uczuć Walentyny i tak naturalnego żalu po matce: teraz atoli uznał za stosowne, raz po raz przypominać jej sezon wiosenny w Londynie, i czy by w zabawach stolicy udziału wziąć nie chciała? Szczycił się swoją żoną i chciał przed całym światem nią się pochwalić. Wiedział że nawet

występek i zbrodnię świat toleruje, byle okryte były blaskiem istotnego przepychu; cóż dopiero, gdy on ukaże światu istotę piękną, cnotliwą, inteligentną, a wzwyż tego wszystkiego, otoczoną aureolą wielkiego imienia i bajecznego majątku, czyż nie uderzą wszyscy czołem, jak przed Bożyszczem?

I stało się jak przewidywał. Walentyna zajaśniała na salonach stolicy, jako gwiazda pierwszorzędna. Honory w domu własnym robiła z wdziękiem Francuzki, a powaga pełna godności Lady angielskiej. Dla kobiet i starych męża przyjaciół, uprzedzająco grzeczna; była zimną i wyniosłą jak królowa dla całej rzeszy swoich adoratorów. Daremne były ich zabiegi, daremne słodkie słówka, któremi ją na wyścigi obsypywali. Na wszystko była ślepą i głuchą. O ile męża uszczęśliwiał ten wysoki takt w postępowaniu, o tyle jej obojętność przyprowadzała do rozpaczy Don Żuanów salonowych, których dotąd świat modny za niezwyciężonych uważał.

Co tylko stolica miała najwykwintniejszego, zgromadziło się dziś wieczór w salonach pałacu Derby. Walentyna w sukni aksamitnej koloru rubinowego, bogato złotym haftem ozdobionej, w djademie z brylantów nad jasnem czołem, w perłach na szyi, które mimo nadzwyczajnej swej wody, nie mogły przyćmić tejże śnieżnej białości, przesuwała się z gracją z salonu do salonu, by nikogo z gości nie pominąć.

— Nasza Lady piękniejsza niż kiedykolwiek — syknął przez zęby zaciśnięte lord Artur, król mody i szyku w stolicy.

— Ale i coraz zimniejsza — wtrącił inny. — To skała, nie kobieta.

— I skałę drąży częstokroć kropla wytrwale spadająca a rozbijają się daremnie o jej granitową powierzchnię burzliwe i niecierpliwe morskie bałwany — żauważył lord Artur złośliwie.

— My, to niby owe bałwany, a ty — uśmiechnął się sir Erwin ironicznie — masz pretensję zostać tą kroplą zapewne, co?

— Może — sir Artur wycedził niedbale. — Nie masz fortecy, której by przemocą lub podstępem wziąć nie można.

— Dla czegóż nie przypuścić raczej — odezwał się nieśmiało gołowąsy młodzieniaszek, który widocznie jeszcze w coś wierzył na świecie — że są kobiety wyższe po nad wszelkie pokusy których cnota niczem nie da się pokonać?

— O sancta simplicitas! — pobożnie westchnął sir Artur. — Jakto zaraz poznać, że lord Oswald, niedawno wyszedł z pod mamy fartuszka. Otóż pozwól sobie powiedzieć naiwny młodzieńcze, że wierne Penelopy do Mytów starożytnych należą, szczególniej, gdy mają mężów starych i chorowitych jak przezacny nasz gospodarz. Rozchodzi się tylko o kwestję czasu. Nie każdy atoli ma potrzebną dozę wytrwałości i cierpliwości; ja ją posiadam i dla tego nie dałem za wygranę.

— Radzę ci Sir wcześnie kapitulować — wmięszał się teraz do rozmowy świeżo przybyły oficer od dragonów; chwacki i piękny brunet, widocznie z matki nie angielki urodzony. — Mówicie naturalnie o naszej gwieździe polarnej, równie jak tamta niedościgłej; o cudownej, domu tego gospodyni. Wiecie, że i ja nie od dzisiaj modlę się do niej, jak Sabeiści do słońca wzdychali. Jako wojskowy, lubię mieć w domu gdzie zamyślam o podboju, pewne rekonesanse. Jenny, naszej ladi pokojówka, sprytna i ładna bestyjka — cmoknął znacząco językiem — dawno już siedzi u mnie w kieszeni. Oto co podsłuchała pode drzwiami i podpatrzyła usługując swojej pani...

— Cóż takiego, co? Kończ że na miły Bóg rotmistrzu! — wszyscy chórem zawołali.

— Powoli, powoli a to gorąco kąpani! Jakby nie Anglicy. Otóż nasza piękna Lady, nosi dzień i noc na piersiach medalion tajemniczy. Widzicie — wskazał nieznacznie na Walentynę, oddając jej przytem niski ukłon powitalny, na który ona lekkiem skinieniem głowy odpowiedziawszy, do dalszych przeszła pokoi. — Uważaliście — kończył — i dziś na cienkim łańcuszku zawieszony ów talizman, z pod pereł się wysuwa. Raz mąż ją zapytał, dla czego nosi wiecznie ten medalion tak skromny, skoro ma daleko piękniejsze i kosztowniejsze? — „To moja jedyna tajemnica, z której tylko Bogu winnam rachunek. W niczem ona praw twoich Milordzie nie narusza, na pamięć matki ci przysięgam; racz mi ją więc zostawić mój mężu“ — odpowiedziała ze słodkiem uśmiechem.

— I stary niedołęga ustąpił? — mruknął gniewnie jeden z młodzieży.

— Zawsze bezpieczniejszy dla męża ów medalion niż jeden z nas. Słusznie zatem zrobił, że się więcej nie dopytywał — wtrącił lord Artur.

— Istotnie dobrze radzisz rotmistrzu. Trzeba kapitulować. Co innnego walka z mężem niedołężnym, a znowu inaczej rzecz się przedstawia, skoro jest w grze dawny kochanek, choćby wspomnienie jego tkwiło, ot w takim maciutkim medalionie — oznaczył kółko na dłoni. — Oddalenie nie dodaje tyle uroku! Wszelkie wady wtedy znikają a przymioty do najwyższej potęgi dochodzą. Nieraz już robiłem to filozoficzne spostrzeżenie, iż gdy ma kochanka pod ręką, kobieta częstokroć lubi go zmieniać jak rękawiczkę, skoro atoli losy przekorne ich rozłączą, nim miał czas ją znudzić i miłością swoją przesycić, prawie zawsze wierną temu nieobecnemu pozostaje. A więc panowie, kto ma ochotę walczyć z owym tajemniczym medalionem? Ja z pola ustępuję!

Na tem powiedzeniu króla szyku, urwała się polemika, a wkrótce salony wypróżniać się zaczęły.

Ostatnia to już była zabawa w pałacu Derby. Lord ciężko zachorował, i od pierwszej chwili tak lekarze, jak i on sam, żadnej nadziei wyzdrowienia nic mieli.

Dawne rany się odnowiły; puchlina gwałtownie postępywała; koniec się zbliżał.

Wiedział że żona Anglji tak samo, jak jej ojciec

nienawidzi i że tylko dla niego ponosiła tę ofiarę, iż tu mieszkała.

Aby najmniejszych nie miała zatargów z jego rodziną, za życia już ulokował wszystkie swoje olbrzymie kapitały na bankach paryskich. Wysłał tam również zaufanego człowieka, który wcześnie poszukał coś stosownego dla Walentyny. Był to prześliczny pałacyk z dużym dziedzińcem i parkiem, jak na Paryż bardzo rozległym. Drzewa odwieczne park ocieniały a dziedziniec jak kosz kwiatów wyglądał. W najpiękniejszej części miasta położony, na Champs élysées, był w Paryżu i na wsi jednocześnie. Enfilada z kilku pokoi kończyła się olbrzymią taflą kryształową, po za którą była oranzerja nie wielka, ale tak misternie ułożona, iż oko w niej się gubiło, niby w ogrodzie nigdy się nie kończącym. Ogrodnik doskonały był naprzód wzięty, by ogród w porządku utrzymywał. Liczna służba; konie i powozy; wszystko na skinienie swojej pani czekało.

Lord Derby tymczasem dogorywał.

— Walentyna pielęgnowała go dzień i noc z czułością i troskliwością córki najprzywiązańszej. O ile mogła, starała się ulżyć mu w ciężkiem konaniu nieodłącznem od wodnej puchliny.

— Bądź błogosławiona, za tę dobroć anielską Walentyno — mówił raz do niej, rękę na głowę jej kładąc. — Za tę wytrwałość i cierpliwość dla starca schorzałego. Obyś w nagrodę mogła odszukać tego, którego tajemnicze wspomnienie tkwi w medalionie na twoich piersiach zawieszonym.

Walentyna drgnęła i cała szkarłatem oblana chciała coś odpowiedzieć.

— Nie trwoż się dziecię — umierający mówił dalej. Wiem że to uczucie czyste i święte, jak dusza twoja. Błogosławię ci jak ojciec na nową drogę, obyś znalazła na niej szczęście, równające się temu, którem opromieniałaś ostatnie dni życia mojego.

Wzruszona do głębi i łzami zalana, ucałowała z czcią dłoń męża stygnącą. Nazajutrz lord Derby żyć przestał.

Czas żałoby po mężu, znowu w samotnym zamku w Szkocji przepędziła. W delikatności swego uczucia pojęła, że tak długo powinna jeszcze zostać na ziemi angielskiej, póki nie odda pamięci męża, hołdu należnego.

Czuła, że gdy raz wróci do Paryża, pamięć ta zatrze się w jej sercu a inne myśli, inne pragnienia, zapanują w niem wszechwładnie. (Dokończenie nastąpi.)

Z czarnych dziejów.

Karol III, ksiąze Parmy, przechadzał się gniewnie po swoim gabinecie, przepełnionym obrazami i rzeźbami włoskich mistrzów, podczas gdy minister jego, parwenjusz angielski Word, z portfelem w rękach, stał pod kominkiem.

W spokojnem jego obliczu nie można było odkryć śladu wzruszenia, a jednak wiadomość, którą przyniósł księciu była nader poważnej natury, jeden z najulubieńszych faworytów dworu, jezuita, ojciec Martuci, przed dwiema godzinami został zamordowany i to jeszcze w świątyni pańskiej — w konfesjonale.

— Gdzie służba moja? — wołał książę — czem trudni się moja policja? Na co trzymam w kraju oddział żołnierzy austryjackich, jeżeli takie zbrodnie mogą się zdarzać? Jeżeli tak dalej pójdzie, mnie samego zamordować gotowi na ulicy!

— Możemy tylko spełniać nasz obowiązek — odrzekł minister — ale Mazzini i jego partja silniejszymi są od nas.

— I niema śladu mordercy — zapytał książę wstrzymując kroku.

— Nic nad, to co sam umierający Martuci wyznał... Mazziniści grozili mu już kilkakrotnie śmiercią. Zarzucali mu, że lubi cieleśnie karać młodzież, przez nich uwiedzioną i paść oczy widokiem egzekucji. Gdy usiadł dziś w konfesjonale, oczekiwała go już młoda dama, okryta w szerokie futro i gęstą woalkę. W chwili, gdy udzielał jej rozgrzeszenia, podniosła się, jakby ku pocałowaniu go w rękę, i wepchnęła mu sztylet w piersi. Gdy zawołał o pomoc, już jej nie było...

— Musieli wszakże być świadkowie tej sceny w kościele, przerwał Karol III. ministrowi.

— Niewątpliwie, ale nikt nie umiał dojrzeć tej damy. Stało to się regułą we wszystkich zbrodniach ostatniej pory, a przeżyliśmy ich niemało. Boją się więcej sztyletu republikanina, aniżeli surowości prawa.

— Na cóż więc wszystkie środki zapewnienia krajowporządku i spokoju? przyznam ci, Word, że w tych warunkach władza nie ma uroku i chętnie bym wyrzekł się tronu, który zawdzięczam tylko straży obcych bagnetów.

— Ale wasza książęca mość masz do spełnienia wielką misję polityczną na tronie — zauważył Word.

— Nudzi mnie ta bezowocna walka — rzekł Karol III. — w której los mnie najniebezpieczniejszy właśnie dał posterunek. Jesteśmy za blisko morza... Lada łódź rybacka może przywieźć agenta rewolucji, uwieźć w bezpieczne miejsce mordercę.

— Rozumiem doskonale niechęć waszej książęcej mości odezwał się Word po chwili — i dlatego ośmieliłem się pomyśleć o rozrywce dla was, sir.

— Zapewne nowa rewja albo polowanie — zawołał z apatją książę — nie chcę o tem słyszeć.

— Nie... udało mi się pozyskać dla naszego teatru sławną z piękności i romantycznych awantur tancerkę, Irmę Cembriston.

— Byłoby to coś — rzekł książę, widocznie uspokojony zajmując miejsce przy kominku — ale ta Cembriston ma mieć dziwne kaprysy...

— O ile ja wiem, tylko jeden...

— A to?

— Ażeby ją kochano.

Książę uśmiechnął się. Zapomniał o zamordowanym spowiedniku, a minister tryumfował.

Irma Cembriston przybyła, wystąpiła i wtańczyła się, że tak powiem, odrazu w serce Karola. Sam Word przyszedł za kulisy, aby jej tryumf zwiastować. Ona jednak przyjęła tę wiadomość chłodno, podobnie jak wszystkie względy jej świadczone. Pewnego wieczoru powiedział jej książę, pożerając namiętnym wzrokiem cudowną kobietę, że ją kocha... Ona wzruszyła tylko ramionami i roześmiała się.

Tancerka zamieszkiwała osobny domek, jakby czarodziejski pałac nimf *en miniature*.

Raz w nocy zapukano do okna jej sypialni, wychodzącej na ogród. Pukanie powtórzyło się. Irma myślała, że to napad rozbójników.

Szybka w decyzji, przywdziała pantofelki, zarzuciła na siebie płaszczyk z futerkiem, porwała nabity pistolet, wiszący u jej łóżka i zapaliła światło.

— Kto tam? — zapytała.

— Ja — Irmo! — odrzekł znany jej głos, pełen czułego drżenia...

* * *

Nazajutrz odbyła się gwałtowna scena między księciem i jego małżonką, cały pałac był w ruchu, wezwano lekarza przybocznego, księżna zemdlała, mówiono, że książę miał ją w uniesieniu uderzyć...

Zajście to nie zdołało wszakże zatamować biegu romansu pomiędzy piękną tancerką a jej panem; był to bowiem prawdziwy romans, porywający ze sobą obie te namiętne natury.

Zbudowali oni sobie wpośród burż politycznych czasu, jakoby cichą grotę miłości, zamieszkałą tylko przez chór wdzięcznych amoretów i gruchających gołąbków.

Irma kochała księcia z całą energją szlachetnej, niezwyczajnej duszy, z ogniem niespotykanym najczęściej u królowych teatru; nie było poświęcenia i hazardu, któregoby nie podjęła dla niego.

Wieczorem dnia 24. marca 1854 w gabinecie księcia zgromadzili się wszyscy ministrowie dla obmyślenia nowych środków przeciw propagandzie mazzynistów, wtem nagle otwarły się drzwi i weszła dumnym a szybkim krokiem, we futro i welon otulona — Irma Cembriston.

Śmiały ten krok przeraził wszystkich obecnych.

Jakby na dane hasło wszyscy podnieśli się z miejsc, nawet oblicze księcia oblokło się szkarłatem.

Tancerka nie spostrzegła tego, albo spostrzedz nie chciała.

— Siedzicie tu panowie — rzekła prędkim głosem Irma — i radzicie zapewne, jak oddalić niebezpieczeństwa, leżące daleko, podczas kiedy sztylet mordercy zagraża dziś już uświęconej głowie księcia.

— Jakto? co pani mówisz? — zawołał Word.

— Signora! — zauważył swobodnie Karol III., — fantazja twoja wypłatała ci widocznie figla...

— Zaklinam cię, książę, nie żartuj z rzeczy strasznych!

— Jeżeli odkryłaś pani tajemnicze nici spisku, które uszły rąk mojej policji — mówił dalej książę — natenczas byłoby najlepiej powierzyć ci ster jej...

— Byle tylko nie było już zapóźno — odparła Irma, odkrywając zasłonę i ukazując obecnym piękną twarz swoją, śmiertelnie bladą.

— Wasza książęca wysokość — odezwał się Word — rzecz zasługuje na zbadanie.

— Twe życie jest w niebezpieczeństwie, mości książę — powtórzyła Irma — przysięgam ci na wszystko, co mi jest świętem!

Teraz pobladł i książę. Irma wydobyła z za gorsetu list i podała mu go. Karol III. przebiegł pismo wzrokiem. — Jakim sposobem dostałaś pani ten list?

— To moja tajemnica.

— Błagam panią, powiedz wszystko — zaklinał Word tancerkę.

— Nie chcę, bo wiem, że w takim razie poczynicie kroki, które obudzą tylko czujność złoczyńców i ostrzegą ich — rzekła Irma.

Gdy jednakże i książę począł usilnie ją prosić, Irma odkryła cały spisek.

— Signora — rzekł Karol, gdy skończyła — tym razem nie żartuję. Mianuję cię moim dyrektorem policji. Wszystkie organa policyjne od ciebie będą odtąd odbierały rozkazy, ty pierwsza odkryłaś niebezpieczeństwo, ty staraj się je usunąć.

— Będę próbowała, wszakże jeden tylko pozostał środek ocalenia życia książęcej mości.

— A to?

— Opuścić Parmę.

— Ucieczka! przenigdy... — zawołał stanowczo książę.

— Wtedy, pomyśl co mówię, wtedy jesteś zgubiony...

— Umiem ocenić twoją przychylność dla mnie, signora — przedstawiał Karol III — ale widzisz rzeczy przecie za czarno.

— Dalby Bóg, aby tak było — rzekła Irma — ale w każdym razie biorę waszą książęcą mość za słowo i obejmuję pod me rozkazy policję.

Książe wydał stosowne polecenia. Irma Cembriston z wilgotnem jeszcze pismem pośpieszyła do gmachu policji i niezwłocznie rozpoczęła swoją czynność. Do rana uwięziono blisko sto osób. Irma sama przesłuchiwała każdą z nich. Owinięta w swe ciemne futro, siedziała w fotelu dyrektora policji, kazała przyprowadzać sobie uwięzionych, plątała ich kobiecą istnie zręcznością i wymową w sieci tak, że najostrożniejszym nawet wymknęło się niejedno zeznanie, mogące podać wątek do ścigania rozgałęzionego spisku.

Wszystko zdawało się wskazywać, iż wybrany na mordercę księcia wysłaniec Mazziniego znajduje się w Parmie, pod zmyślonem nazwiskiem Lambertuziego i ukrywa się w mieszkaniu pewnego lekarza.

Posądzenie nabrało siły pewności, kilka bowiem osób widziało podczas zamordowania ojca Martuci w domu owego lekarza smukłą kobietę, otuloną zawsze w futro i szczelnie zawoalowaną, która często wychodziła z domu i powracała.

Inne zeznania stwierdziły, że nieznajoma w parę godzin po dokonaniu mordu opuściła Parmę na statku angielskim.

Irma kazała niezwłocznie obstawić wojskiem dom podejrzany. Policja wtargnęła się do wnętrza i uwięziła lekarza, jego siostrę i służbę. Lambertuzzi nie znalazł się. Z pewnością ostrzeżono go zawczasu.

Przesłuchanie lekarza nie odniosło skutku.

— Zmuszę ja cię do prawdy — zawołała nareszcie Irma, zwrócona do sierżanta policji — zamknijcie go w najciemniejsze więzienie i nie dawajcie mu jeść ani pić do chwili dopóki nie wyzna prawdy.

— To znaczy wznawiać tortury — szepnął nieśmiało urzędnik policji.

— Czy boisz się sztyletów Mazziniego? — zawołała Irma — ja nie boję się ich, gdy chodzi o życie księcia.

Nazajutrz z rana oznajmiła Irma Cembriston księciu i ministrom osnowę zeznań, które wydobyła, jako parmeński dyrektor policji.

— Spiskowcy są przerażeni i rozproszeni — tak zakończyła swój raport piękna i energiczna kobieta — ale dotychczas nie udało mi się schwytać osoby wysłanej tu bądź to, aby uzbroić ramię mordercy, bądź, aby wykonać morderczy zamach i dlatego trwam przy tem, aby wasza książęca mość opuściła Parmę.

Po dłuższej naradzie zdawał się książe zgadzać na wyjazd.

— Jutro może będzie zapóźno, dziś jeszcze można to uczynić.

Większość ministrów oświadczyła się natomiast przeciw wyjazdowi, który miałby znamiona ucieczki lub abdykacji, a ponieważ jenerał austryjacki zaręczał za spokój stolicy i wszystko uważał za zręczny tylko manewr ze strony mazzinistów dla nastraszenia księcia i rządu, nie usłuchano ostrzeżeń i błagań Irmy.

Tymczasem kobiecy dyrektor policji aż nazbyt jasno patrzył — następnego dnia, 26. marca 1854, zamordowano Karola III. na otwartej ulicy w Parmie.

* * *

Księżna Ludwika objęła rządy — pierwszym krokiem jej było wydalenie jeszcze tej samej nocy z miasta Irmy Cembriston, która z rozpaczy po zgonie ukochanego namiętnie księcia sama bliską była śmierci...

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W Maniecki.